DZIENNIK

DLA WSZYSTKICH

Czasopismo illustrowane.

Rocznik

III.

LWÓW.

Nakładem Redakcji „Dziennika dla Wszystkich“

Z DRUKARNI KORNELA PILLERA

1880.

Nr. 1. Lwów, Niedziela 4 Stycznia 1880. Ro…

DZIENNIK DLA WSZYSTKICH

CZASOPISMO ILLUSTROWANE – WYCHODZI CO TYDZIEŃ

Prenumerata wynosi we Lwowie:		**Na prowincji** (z przesyłką pocztową):	
rocznie	9 zł. 60 ct.	rocznie	12 zł. — ct.
półrocznie	4 „ 80 „	półrocznie	6 „ — „
kwartalnie	2 „ 40 „	kwartalnie	3 „ — „
miesięcznie	— „ 80 „	miesięcznie	1 „ — „

W Poznańskiem i Prusach 6 marek kwartalnie. — We Francji i we wszystkich innych krajach 8 fr. kwartalnie, które przesłać należy przekazami pocztowymi.

Z Poznańskiego i Prus można przesełać prenumeratę przekazami pocztowymi lub prenumerować w księgarni J. K. Żupańskiego w Poznaniu.

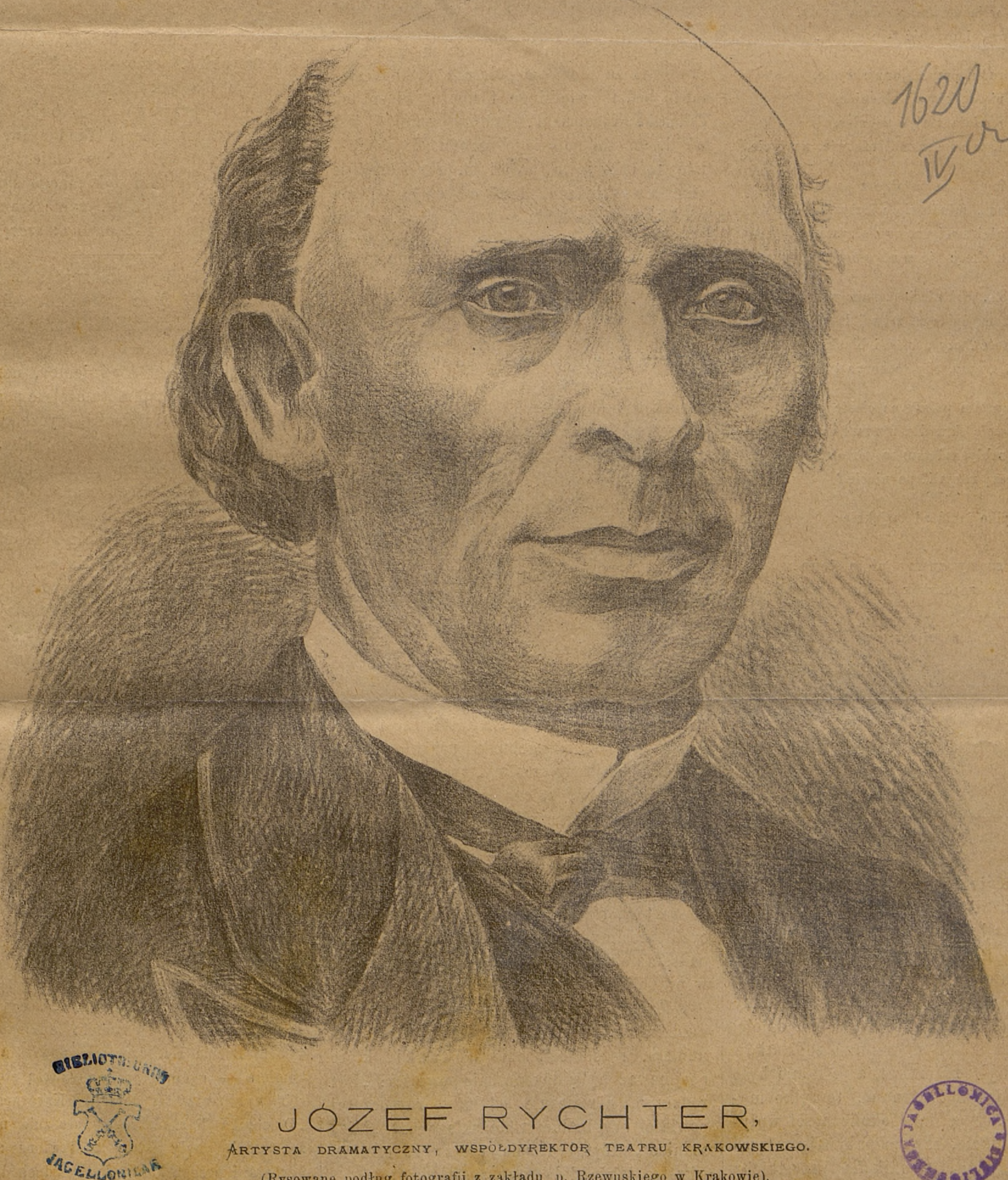
Numer pojedynczy 25 ct.

Za ogłoszenia opłaca się 8 ct. za wiersz drobnem pismem, lub za jego miejsce. Opłata od ogłoszeń większych stosownie do umowy.

Redakcja i Administracja **Dziennika dla Wszystkich** przy ulicy Rzeźbiarskiej Nr. 1. A (Łyczaków), gdzie się przyjmuje prenumeratę i ogłoszenia. Prenumeratę z prowincji i z innych krajów przesełać należy przekazami pocztowymi franco pod adresem: Do Administracji **Dziennika dla Wszystkich** we Lwowie. — Listy powinny być frankowane.

Za granicą ogłoszenia przyjmują: w Wiedniu: Haasenstein et Vogler Wallfischgasse; A. Oppellik Stubenbastei 2; Rotter et Comp. I. Riemergasse 13; Daube et Comp. Maximilianstrasse 8; w Frankfurcie n. M., Berlinie, Wrocławiu, Hamburgu, Brunświku i w Szwajcarji: Haasenstein et Vogler; w Paryżu: ajencja p. Adama rue Clément 4; w Peszcie: ajencja ogłoszeń Langa.

Właściciel i naczelnie kierujący częścią literacką i administracyjną: M. D. Chamski.



JÓZEF RYCHTER,

ARTYSTA DRAMATYCZNY, WSPÓŁDYREKTOR TEATRU KRAKOWSKIEGO.

(Rysowane podług fotografji z zakładu p. Rzewuskiego w Krakowie).

1880.

Że sen to nie był — dreszczem serca ręczę,
Co drżało w piersi, gdy oczy patrzały...
Pod nieb sklepieniem, jakiś anioł biały
Rozsunął nagle siedmiobarwną tęczę
I odszedł...

Ziemia iskrzyła się śniegiem —
Żywe brylanty migotały po niej —
Dzień, kulę słońca już niosąc na dłoni, —
Płoszył *noc* szarą, z gwiazd bladym szeregiem...

Po nad murami prastarej stolicy,
Samotny orzeł, skrzydlami wielkiemi!
Trzepocąc, — wdziękom radował się ziemi,
Którą tak zbudził anioł białolicy...
I widział — jak ta znowu czysta wstaje
W pierwszej godzinie *nowego* żywota, —
Jak, wchodząc w jasne *nowego* dnia wrota,
Cieszyć się znowu i pysznić tem zdaje...

U wrót tych progu, przyczajony skrycie,
Czekał już na nią tęskny oblubieniec,
W którego ręce miała złożyć wieniec,
By pójść z nim, w *nowem* małżeństwie, na życie!

Rok Nowy!... feniks, co wstając z popiołu
Młodym, jak ona... młodością wieczysta, —
Z nieśmiertelności swej znowu korzysta,
Nektar hymenu chcąc pić z nią pospołu.

O, dziwna paro!... cóż niesiesz nam w darze,
Biednym robakom, żyjącym z twej łaski?
Wojnę i ciemność? czy spokój i blaski?
Powiedz! — błagamy, chyląc korne twarze!

Czy orzeł, który tam patrzy na ciebie
Darmo znów swoje skrzydła rozwarł duże?
I anioł, który zabłysnął tam w górze,
Darmo swą tęczę rozpalił po niebie?

Cisza... głos tylko jakiś zdala jęknie:
„Czekaj!“...
O, znamy, znamy już to słowo!
Wiecznie-ż ten *stary* dźwięk na drogę *nową?...*
„Czekaj!“ i „czekaj!“
aż ci serce pęknie!...

Bogumił Aspis.

Od Redakcji i Administracji.

Rozpoczynamy trzeci rok wydawnictwa „Dziennika dla Wszystkich“. Nie jest to tak długi przeciąg czasu, ale w naszych stosunkach galicyjskich, gdzie pisma rodzą się, jak grzyby i znikają jeszcze predzej od grzybów — utrwalić byt i zyskać stosunkowo dość znaczną liczbę czytelników i prenumeratorów — nie jest rzeczą tak łatwą, jakby się na pozór zdawać mogło... Nie jesteśmy też tak dalece zaślepieni w swojem dziele, abyśmy nie widzieli w niem niedostatków i usterek... Było rozmaicie, a jeśli nie było czasem tak, jak być powinno, to tylko możemy zapewnić, że inne okoliczności wpłynęły, ale redakcja, zawsze pała najgorętszemi chęciami, aby „Dziennik dla Wszystkich“ doprowadzić do możliwej doskonałości. Raczą tedy wybaczyć łaskawie szanowni prenumerątorowie, jeśli doznali jakich małych uchybień w wydawnictwie — będzie naszem najgorliwszem staraniem, aby te uchybienia wynagrodzić.

W rozpoczetym więc roku „Dziennik dla Wszystkich“ wychodzić będzie o tym samym programie i warunkach, jak i dotąd. Musimy też zwrócić uwagę, że portretowe ryciny, umieszczane w „Dzienniku dla Wszystkich“ są istotnej wartości artystycznej i, że nadal ci sami artyści rysować dla nas będą. Oprócz wizerunków umieszczać będziemy od czasu do czasu szkice humorystyczne, ale nie w każdym numerze.

Prenumeratorowie „Dziennika dla Wszystkich“ dostają co pół roku, jako b e z p ł a t n y d o d a t e k premium, które stanowi portret w i e l k i e g o f o r m a t u jakiej znakomitości. Za półrocze drugie 1879 r. rozesłaliśmy wielką rycinę portretową J. I. Kraszewskiego. Za pierwsze półrocze 1880 r. roześlemy premium w pierwszym kwartale. Premium za pierwsze półrocze 1880 r. stanowić będzie wielkiego formatu wizerunek Tadeusza Kościuszki, którego pamięć jest tak drogą dla polskiego narodu. Że zaś będzie to luksusowe premium, roześlemy je więc nie składane, lecz o b w i j a n e n a w a ł k a c h, za małą osobną dopłatą, o czem później doniesiemy. Nadto, ponieważ coraz więcej przybywa abonentów z zachodniej Galicji i z Krakowa, przeto poczynając od Nowego Roku w k a ż d y m n u m e r z e „Dziennika dla wszystkich“ pomieszczany będzie *Kurjer krakowski*, który opracowywany będzie przez krakowskich współpracowników i obejmować będzie tamtejszy ruch społeczny, literacki i artystyczny.

Warunki prenumeraty „Dziennika dla Wszystkich“ znajdują się przy tytule pisma wyszczególnione. Prenumeratę można przesełać w każdym czasie, bez względu na zaczęty miesiąc, lub kwartał. Prenumeratę najdogodniej przesełać p r z e k a z a m i p o c z t o w y m i wprost: *do Administracji „Dziennika dla Wszystkich“ we Lwowie, ulica Rzeźbiarska, liczba 1.*

Niektórzy z obecnych panów abonentów zalegają w prenumeracie. Ponieważ obecnie zaczął się nowy rok i administracja pragnęłaby wszelkie rachunki uregulować — najuprzejmiej tedy prosimy, tych szanownych prenumeratorów, którzy jeszcze należności nie uiścili, aby raczyli przesłać takową, jak najspieszniej i nie narażali nas na osobną uciążliwą i bardzo nie miłą korespondencję.

Odnawiających prenumeratę szanownych abonentów, również, jak i nowoprzybywających, prosimy, o ile to być może, o wczesne nadsełanie prenumeraty, abyśmy mogli, choć w przybliżeniu, obliczyć nakład „Dziennika“.

Zawiadamiamy jeszcze szanownych prenumeratorów, że Redakcja, za skonfiskowane numera, rozsełać będzie d o d a t k i, które obejmować będą dokończenie powieści: „Bez rodziny“, niezależnie od nowo rozpoczętej powieści oryginalnej Choińskiego p. t. „Mieszaniec“. Tytuł i spis rzeczy za r. 1879 wkrótce także dołączony zostanie.

Kronika krajowa.

† „Czas“ donosi, że w tych dniach zmarł dożywszy sędziwych lat ś. p. Kruszewski jenerał wojsk polskich, mąż zasłużony dobrze ojczyźnie.

† Doszła nas wiadomość, że w Twerze zmarł ś. p. Przecławski niegdyś redaktor „Tygodnika Petersburgskiego“. Zmarły pisywał w językach: polskim i rosyjskim; w tym ostatnim zostawił dużo prac odnoszących się do dziejów naszej literatury.

Oddział czarnohorski towarzystwa tatrzańskiego, urządzi w połowie września b. r. w Kołomyi wystawę etnograficzną, pragnąc zarówno dać poznać lud, jego stroje, mieszkania, narzędzia, jakoteż przemysł domowy. Wystawa ta obejmie powiaty: kołomyjski, śniatyński, horodeński, kosowski, zaleszczycki i borszczowski. Tak piękny cel zasługuje na jak najusilniejsze poparcie, którego towarzystwo potrzebuje, gdyż nie ma do rozporządzenia funduszów, niezbędnych w tym celu. Nie omieszkamy dać naszym czytelnikom dokładnego sprawozdania w czasie wystawy, tymczasem szanownemu komitetowi życzymy: *szczęść Boże!*

W Prusiech w gimnazjum w Brodnicy (Strasburg W/P.) za staraniem posła Łyskowskiego, od kilku tygodni wprowadzono wykład języka polskiego, a nietylko młodzież polska, ale i niektórzy niemcy, uczęszczają na lekcje. Gimnazjum tamtejsze posiada ładną bibljotekę niemiecką, życzeniem więc jest tegoż szanownego posła, aby założyć także dla gimnazjum polską bibljotekę, i sam na ten cel przeznacza pewien fundusz. Właścicielka księgarni w Brodnicy, pani Köller, jakkolwiek niemka, pospieszyła i pierwsza ofiarowała 20 książek.

Podajemy tę wiadomość dlatego, aby ją rozgłosić, w następstwie czego niejeden raczy pospieszyć z ofiarowaniem książek, co może wkrótce uformować pożądaną tam bibliotekę polską.

Kraszewski pisze, co następuje:

„Nie wiedząc nazwiska, ani adresu ofiarodawcy, który rubli sr. tysiąc na wydawnictwa ludowe nadesłał redakcji „Bibljoteki Warszawskiej“, drogą dzienników ośmielamy się zapytać go, czyby nie życzył sobie funduszu tego przyłączyć do „Macierzy“, której zadaniem jest także oświata ludu.

Prosimy dzienniki o powtórzenie tych słów kilku“. *J. I. Kraszewski.*

Kurjer krakowski. „Loterja gospodarska“ urządzona w tunelu Sukiennic przed samem Bożem Narodzeniem, powiodła się znakomicie — ogólnie jednak skarżą się na sposób wykonania tej loterji. Korespondent do „Dziennika Poznańskiego“ słusznie utrzymuje, że, gdyby były stoły zastawione napojami, herbatą i przekąskami, byłby dochód dziesięć razy większy. W każdym razie, inicjatorom

loterji, należy się szczera podzięka, a usterki, łatwo dadzą się poprawić na rok przyszły.

* Zawiązało się tu Towarzystwo św. Łukasza, którego celem jest popieranie malarstwa religijnego.

* Damy krakowskie powzięły myśl niesprowadzania toalet z zagranicy, lecz sprawiania ich w kraju. Zamiar to godny naśladowania i bardzo na czasie — czy jednak istotne znajdzie zastosowanie na szeroką skalę, wątpić należy, bo panie nasze w kwestjach toaletowych, są, jak wiadomo tak grymaśne, że... ale nie przesądzajmy przyszłości... Na dzisiejsze ciężkie czasy pochwalić należy i dobre chęci, chociaż niemi, jak wiadomo, i piekło jest wybrukowane...

* Wdzięczni mieszkańcy Krakowa w uznaniu zasług położonych około jubileuszu Kraszewskiego, zbierają składki, aby obdarzyć prezydenta Zyblikiewicza honorową karabelą, a dra Szlachtowskiego kołpakiem z agrafem i czaplem piórem.

* *(Ze świata muzycznego).* Objąwszy z dniem 1 stycznia stałą rubrykę krakowską z dziedziny tonów, starać się będę zapoznawać czytelników z rozwojem muzyki w grodzie Krakusa przysyłając choć krótkie, ale regularne i wierne sprawozdania ze wszystkich koncertów, wieczorków i t. p. Kraków w kilku ostatnich latach zmienił się pod względem muzykalnym na swą korzyść; zamiłowanie do muzyki ciągle tu wzrasta, a koncerta i inne produkcje muzyczne, mnożą się stopniowo podniecając smak i zamiłowanie. Najsławniejsi z dziś żyjących artystów i wirtuozów urządzają tu swe koncerta, licząc śmiało na wielką i doborową liczbę słuchaczów. I tak w upłynionym roku dawali tu koncerta: pianistka p. Essipoff, wzbudzał podziw Antoni Rubinstein, a na styczeń przyobiecali się już dwaj znakomici skrzypkowie: Joachim i Hellmesberger. Zanim atoli rozpocznę me sprawozdania, zdaje mi się koniecznem, by choć w kilku słowach skreślić pogląd na tutejszy ruch muzyczny w ogólności. Głównem ogniskiem jest krak. towarzystwo muzyczne założone w r. 1866, którego artystycznym dyrektorem jest p. Stanisław Niedzielski, a prezesem książe Aleksander Czartoryski. Obok tow. muz., istnieje tu chór akademicki i inne pomniejsze kółka śpiewaków.

Sezon zimowy rozpoczęło towarzystwo muzyczne dnia 26 września b. r. dając I. „wieczór muzykalny“ dla swych członków. W wieczorku tym wzięła udział p. Ermina Carletti, znana we Lwowie z występów w operze tamtejszej. Pierwszy koncert urządziło tow. muzyczne dnia 24 października, w którym pomiędzy innymi utworami, wykonało kantatę mitologiczną „Milda“ słowa Kraszewskiego z muzyką Moniuszki. W kilka dni później t. j. dnia 29 października, urządziło towarz. muz. wraz z p. Heleną Modrzejewską koncert na dochód byłego dyr. tow. „Muzy“; w tym wieczorze brał także udział p. R. Lelek barytonista, we Lwowie w operze debiutujący.

Pan M. Friedberg (skrzypek) dawał koncert w teatrze 25 listopada. Nie mogę z braku miejsca wchodzić tu w ocenę wszystkich produkcji muz. ostatniego kwartału, lecz poprzestać muszę na wzmiance z dwóch najcelniejszych koncertów, a mianowicie pp. Żeleńskiego i Galla.

P. J. Gall młody, lecz bardzo zdolny i płodny kompozytor, na którego „uwerturę koncertową“ Es-dur (wykonaną na II. koncercie tow. muz. d. 12 listopada) zwracamy uwagę miłośników poważnej muzyki — wykonał na cele dobroczynne dnia 10 Grudnia oratorium Mendelsohna p. t. „Eljasz“, które na żądanie d. 14 grudnia znów było powtórzone.

P. Władysław Żeleński dyrektor tow. muz. w Warszawie, urządził koncert 15 grudnia z współudziałem chóru tow. muz. a zawierający wyłącznie utwory koncertanta. Niestety nie dziś tu miejsce bym o wszystkich wykonanych utworach zdał obszerne sprawozdanie tak, jak na to bezsprzecznie zasługują, zostawiam to na później, a teraz choć w kilku słowach je scharakteryzuję. Wszystkie utwory tego kompozytora z lat ostatnich cechuje siła, plastyka, jaskrawy i świetny koloryt w instrumentacji i głębokie znawstwo teorji muzycznej. W uwerturze p. t. „Tatry“, motywa sielskie bardzo charakterystycznie są przeprowadzone, a burza w Tatrach, nawet i mniej muzykalnym się podobała. „Mazur koncertowy“ na orkiestrę jest ognistym, tryskający życiem, ale zdaje mi się że zanadto baletniczym — maluje się w nim prawdziwy staropolski kulig z sankami, dzwonkami i t. d. Koroną koncertu był „Polonez“ koncertowy na orkiestrę. Część druga tego polonezu jest prześliczna, a szczególniej znakomite jest w nim przejście z d-mol do d-dur z użyciem harfy. Sądzę, że i lwowianie zechcą usłyszeć te niezwykłe dzieła. Koncert zakończono wykonaniem „Kantaty“ z jubileuszu J. I. Kraszewskiego na solo baryton, chór męski i orkiestrę. We dwa dni później dało tow. muz. wieczór dla członków, z współudziałem p. Żeleńskiego. Z programu, który znowu zawierał li utwory Wł. Żeleńskiego, na szczególną uwagę zasługuje kwartet f-dur na 2 skrzypce, altówkę i wiolonczelę. Z czterech części tego kwartetu (Allegro, Adagio, Scherzo i Finale), najpiękniejsze jest Adagio.

Rok 1879 zakończył koncert amatorski urządzony 29 grudnia przez ks. Zuzannę Czartoryską, a pod protekcją arcyksiężnej Izabelli na rzecz ubogich dotkniętych klęską tegoroczną zimy. W koncercie tym brały udział: ks. Zuzanna Czartoryska, ks. Windisch-Grätz, hr. Degenfeld i inne panie i panowie. Między innemi odśpiewał p. Niedzielski: „Dwaj grenadjerzy“ Schumana, wygłaszając z siłą i przejęciem się końcowy ustęp pieśni, który jest niejako remiscencją z Marsylianki. Prócz tego wykonano Haydna kwartet smyczkowy (nr. 14 d-dur) kończący się kolomyjką i „Danse Macabre“ (taniec śmiertelny) Saint-Saënsa na dwa fortepiany. O innych numerach koncertu już nie wspominam, widząc, że i tak za długo się rozpisałem. *Maurycy Sieber.*

* Z powodzeniem przedstawiono w Krakowie ludową sztukę p. Staszczyka p. t. „Błędne ogniki“. Na dziś ograniczamy się na tej krótkiej wzmiance — dopóki nie odbierzemy od naszych korespondentów obszernego sprawozdania.

Plotki i nieplotki.

* Dla osoby piszącej wiersze, bez których każda literatura łatwo może się obyć, prosi się niniejszem na miłość boską, o jakiekolwiek stałe zajęcie, choćby cząstkowe sprzedawanie nafty, lub szwedzkich zapałek, gdyż w braku tego zajęcia osoba ta tak szalenie kolportuje plotki na wszystkie strony, że prowadzącemu niniejszy dział, po prostu chleb odbiera... Jeżeliby ktoś miał stosowne miejsce, niech raczy dowiedzieć się o adres u pewnego optyka, który ją kiedyś ze swego sklepu w tak gwałtowny sposób posłał po protekcję do pewnego redaktora rezydującego ongi na Sobieskiego ulicy, że aż biedaczysko zgubiło kapelusz i przed sklepem i przed redakcją...

* *Zaślubiny zmarłych.* Spirytyści poczynają dochodzić do coraz większych rezultatów w swojej nauce. Niezadawalniając się rozmowami z duchami zmarłych i ich odwiedzinami, wpadli na oryginalny koncept urządzenia zaślubin dwóch duchów różnopłciowych. Holyday Courier podaje wiadomość o zaślubinach córki Izaaka Ithone z Lewenworthu, zmarłej przed trzydziestu laty z niejakim Benjaminem Piers, synem Franklina Piersa, czternastego prezydenta Stanów-Zjednoczonych. Wedle opisu, panna młoda miała na sobie jasno-zieloną suknię wyciętą, a pan młody wywijał tańce w czarnym fraku i białej kamizelce! Nie smućcie się więc panowie i panie! Jeśli tutaj nie znajdziecie dla siebie pary, znajdziecie ją na tamtym świecie. Ciekawa tylko rzecz, czy chrzciny pomiędzy duchami odbywają się w ten sposób co u nas, i czy pogrzeby odbywają się w metalowych trumnach?

* W dzień Nowego Roku po południu dawano „Żołnierza królowej Madagaskaru“. W sztuce tej po raz pierwszy występował pies... Czy tę inowację do sztuki wprowadził autor, czy też reżyser z wyższego polecenia świetnej dyrekcji, czy wreszcie sam pies chciał kruszyć kły w obronie królowej Madagaskaru, — niewiadomo, to jednak pewna, że pies odegrał swą rolę *przyzwoicie.*

* Pewien lwowski statystyk utrzymuje, że jest rzeczą niepodobną obliczyć ile było wstąpień i wystąpień rozmaitych wielkich, średnich, małych, ułamków i zer do Dziennika, lub z „Dziennika Polskiego“. Obecnie wystąpił pan Tadeusz Romanowicz z tego pisma — czy na „Trzy króle“ nie wystąpi pan Rewakowicz, aby wstąpił pan Romanowicz, wątpimy, aby się kto chciał o to założyć. Pan Romanowicz mając biuro statystyczne w magistracie, mógłby przekazać potomności, jak w krótkim przeciągu czasu, mogą się zmieniać redaktorowie, choć się właściwie nic nie zmienia w redakcji.

* W „Trzech Florach“ występująca pani German na scenie gryzie orzechy... Z tego powodu widzieliśmy w bufecie zakładających się dwóch młodych ludzi: jeden utrzymywał, że orzechy, drugi, że zęby sztuczne...

MIESZANIEC*)

OBRAZEK WSPÓŁCZESNY

PRZEZ

F. Jeske-Choińskiego.

Rok za rokiem lecą mi lata
Jak niemiłe — nieme — gdzieś ptaki,
Kraj za krajem, zbiegłem pół świata,
Ale wszędzie pusty — nijaki!
O, nigdzie nie będzie odmiany,
Bom oczarowany.
Bohdan Zaleski.

I.

Dziwne sprawy dzieją się często na tym bożym świecie, tak, iż człowiek zdumiony staje i pyta:

— Zkąd się to wzięło?

Przyczyny, bowiem, nie widzi.

Pytał się tak nie raz, nie dwa pan Michał Dołęga, ilekroć oko ojcowskie, od koni i bydła zwrócone, na jedynym spoczęło synku, który nie wiedzieć zkąd, słabiutki był i wątły, a książkę więcej lubił, niż konika, więcej jeszcze baśnie wieśniaczek, kręcących wieczorem zimowym kołowrotki.

Dotąd żaden z Dołęgów mądrością nie grzeszył, bo wszyscy mówili, że gospodarzowi nie potrzebna nauka; żaden myślą nie wyjrzał po za kopce graniczne własnego majątku, nie bolał prócz cierpieniem codziennem, które łzy roni na grób dziecka i żony, aby jutro uschły, albowiem nie godzi się człowiekowi opłakiwać przypuszczenia boskiego.

Lat dwieście siedzieli Dołęgowie na dziedzicznej ziemi, siejąc i zbierając, Boga chwaląc, nie troszcząc się bynajmniej o sąsiada, o wypadki krajowe, a byli wszyscy rośli, krzepcy, jak to mówią: do tańca i różańca.

Nie dziw, że ostatni Dołęga ręce załamał, kiedy mu żona synka z błękitnem okiem powiła, co to już z kołyski patrzyło smutnie, czasem tęsknie, wyrywając się koniecznie przez okno na ogród, do nieba smug jasnych, do księżyca srebrnych śladów; nie dziw, że się zdumiewał, ilekroć Tadzio już na ręku niańki na widok konika nie klaskał... gdzieś tylko zawsze główkę odwracał. Troskał się bardzo pan Dołęga, tem więcej, kiedy miła żona wkrótce po wydaniu syna na świat, sama do matki ziemi wróciła...

Strapiony mąż pieścił początkowo sierotkę, ale czas, który większym bólom końce zatrute odłamuje, w gorętsze nawet serca balsam zapomnienia lejąc, czasu lekarz kazał i Dołędze dobrej zapomnieć żony i małego sierotki, którego niańki pod opiekę wzięły.

Rychło wrócił wdowiec do stajen i obór zapominając wśród zajęć gospodarskich o żonie i jej spuściźnie.

Stara klucznica, która zmarłą panią wypiastowała, zajęła się wychowaniem Tadzia. Chłopczyk rósł nie w barkach, ale w rozumie na podziw dworskiej gawiedzi, przywiązującej się z dniem każdym więcej do łagodnego panicza.

Bóg posiał w sercu dzieciny ziarno poezji, aby kiedyś w piękny kwiat wybujałe, wonią odurzało spragnionych niebieskiego pokarmu; ale łza sieroctwa, która rychło padła na to ziarno podlewą zimną, wstrzymała jego rozwój naturalny.

Wszelkie ziarno potrzebuje światła i ciepła słonecznego, aby wyrosła w kwiat wonny. Tego światła i ciepła brakło dziecinie, bo na tęskną twarzyczkę jego nie padał promień matczynego oka, ani wiało ciepło bijące jedynie z piersi macieżystej. Oj, sieroctwo, czy takie, czy inne, czy śmierć je zgotowała, brak serca, ubóstwo, albo genjusz, czy dzieciny rozwój wstrzyma, albo męża pracowne czoło osmuci — zawsze ono rzuca cienie a długie, na manowce samotnego życia...

Bywało, nieraz wieczorem niańka odejdzie do własnej zabawy, a mały Tadzio przebudziwszy się w kołysce, oknem patrzy na księżyc, który srebrzy drzewa i domy, na ścianach tworząc powiewne cienie, co się ruszają, jak duchy nocne... ciche, tajemnicze.

Nie dobrze przecież, kiedy księżyc na małe dzieciny patrzy... wątłe one potem i słabe i blade. Ale Tadzio, nad którym się nie schylała dobra matka, aby zasłonić piersią blask księżyca, uśmiecha się do uśmiechniętego miesiąca; zda się, rozumie wejrzenie jego tajemnicze, bo, ani zakwili, ani się rusza, tylko oczki coraz to więcej roztwiera, a patrzy...

Później chłopczyk puszczony samopas przez dziewczynę, na ogród biegnie, z ogrodu na pole, i widzi zdziwiony, jak niebo gdzieś tam daleko ziemię obejmuje i zadumany staje, aż łezka wypływa z oka, a serce ściska jakieś dziecku niezrozumiałe pragnienie.

Ostrożnie z ogniem! Niańko pilnuj, aby takich łez nie wypłynęło więcej z dziecinnego serca, bo zatruły one już niejeden żywot...

Ale niańka nie pilnuje, bo czeka na nią ulubiony chłopiec ze wsi, i ojciec nie pilnuje, bo zachorzał pewno koń w stajni.

Mówi niańka:

— Pokrzyw nie ma w ogrodzie, ani cierni, nie ukłuje się dziecko.

Myśli ojciec:

— Mam sługi, którym płacę za to, aby syna mego pieściły.

Sierota chował się sam, więc bez przeszkody snuł złotą nić marzeń, których cały kłębuszek los w sercu jego złożył; do gwiazdek przemawiał i księżyca, kiedy w noc jasną na niebie wysokiem dziękczynny hymn wielkiemu Bogu szeptały; z kwiatami się pobratał i zaprzyjaźnił.

Sześć lat liczył Tadzio, kiedy ojciec za namową miejscowego proboszcza sprowadził nauczyciela dla jedynaka, a guwerner był łagodny i księgi sam lubił.

Tadzio nie płakał nad tabliczką, owszem, dni całe głoski kreślił i wyrazy składał, pragnąc jak najraźniej mówić z ludźmi, o których mu nauczyciel rozpowiadał: że z białych kart tym samym do ludzi przemawiali językiem, którym gwiazdy gadają i kwiatki.

Ojciec dziwił się zrazu pilności dziecka, bo cnoty tej nie znano w rodzie Dołęgów, potem do koni wracał i pola, sądząc, że dość zrobił dla syna, nauczyciela mu dając.

II.

We dworze Dołęgi płynęły dni jednostajne, równe zawsze, jak dygot zegara, ciche, jak szmer ukrytego w lesie strumyka. Żadna burza, choćby największa, nie zdołała wyrwać gospodarza z półsnu samolubnego szczęścia; żadna łza obca, choćby narodu całego, nie przyćmiła w oku rolnika blasku jednostajnego wesela, jakie daje ustronne, a wygodne życie. Dołęga nie wiedział, że narody są, jakby łańcuchem, którego ogniwa całość tworzą, a nierozerwalną; że i najdrobniejsza jednostka wielkiego człowieka, który się zowie narodem, groszem wdowim przyczynić się może i winna do przeznaczonego ludom z góry posłannictwa.

Był szczęśliwy, kiedy widział łany, rozkołysane złotą pszenicą, szczęśliwszy po dokonanych żniwach, a już niczego więcej nie pragnął, jeśli i w zabudowaniach ład panował.

Pracował dla pracy, zbierał dla zbiorów, nie troszcząc się o nic więcej i o nikogo, nawet o synka, który miał być kiedyś spadkobiercą wszystkich rodzica zachodów.

Mały Tadzio przywiązywał się tymczasem z dniem każdym więcej do książek, aż stało się, że je pokochał serdecznie, jako jedynych przyjaciół, którzy do dziecka mówili pięknym językiem gwiazd i kwiatków, którzy opuszczonemu sierotce szeptali pociechy słowo, usuwając tęsknego chłopczyka na godzin kilka z otoczenia codziennego, gdzie widział zawsze tylko nieopatrzną twarz ojca, słyszał utyskiwania nauczyciela i starej piastunki.

Minął rok jeden, drugi, czwarty i szósty.

Już miał Tadzio lat dwanaście; już chłopczyk samotnością i nauką wcześniej dojrzały, tęskniej patrzyć zaczynał na Zachód, czując u ramion rosnące skrzydła, które go wynieść miały po nad dwór rodzinny, potem dalej do miasta, o którym nauczyciel dziwy rozpowiadał; już młodej duszy ciasno było w gniazdku ojców, i na polach ciasno i na własnych łąkach.

W tym czasie umarł mąż siostry pana Dołęgi, zostawiając wdowę i córeczkę sierotami. Brat wziął owdowiałą siostrę do siebie.

Odtąd było weselej w starym dworze, było ludniej za sprawą dziewczynki, małej Wandy, która, jak dzwoneczek srebrny po smutnych pokojach biegała, bezustannie szczebiocąc i śpiewając.

Tadzio miał lat dwanaście, Wandzia ośm. Zrazu przypatrywali się sobie, jak dwa ptaszki, wpuszczone po raz pierwszy do

*) W powieści mojej p. t. „Pierwsza miłość", drukowanej we Lwowie w „Ruchu literackim", nazwałem ludzi połowicznych, którym życie powszednie nie wystarcza, a poświęcone nie smakuje, gdyż ofiar wymaga: „mieszańcami". Obecny obrazek ma być ilustracją takich natur wedle Goethego i Spielhagena: „problematycznych", których dziś coraz więcej na tym bożym świecie. Pretensyj innych nie ma ten szkic psychologiczny. *Autor.*

wspólnej klateczki. Po kilku dniach zaczęli szeptać, potem oswajać się, w końcu śmiać wesoło, aż w miesiąc pokochały się dzieci, jak przystało bratu i siostrze.

Tadzio opowiadał Wandzie o książkach, zrywał kwiatki dla swawolnicy, prowadził ją nad jezioro, aby słuchała tajemniczego wód szmeru; — Wanda śmiała się z braciszka, ilekroć brew dziecinną marszczył, przedrzeźniała go, kiedy powtarzał wyczytane gdzieś wierszyki, ale siadała w kąciku, płacząc rzewnie, skoro spostrzegła, że Tadzio posmutniał z powodu jej pustoty.

Kiedy chłopczyk dorastał, przypomniał sobie pan Dołęga, że ojców zwyczajem, z których każdy po dwa, lub trzy lata w szkołach przesiadywał, zanim się do pługa wprzęgał, aby już nie wyleźć po za kopce graniczne własnych włości, i Tadzia do miasta posłać było trzeba.

Na wieść o tej zmianie Tadzio nie płakał, jak inne dzieci, nie szedł się żegnać z polami i stajnią, których nigdy nie lubił, nie żałował rodzinnego domku, w którym był tyle szczęśliwym, ile samotnie żył. Owszem, młode serce chłopczyka rozśmiało się. Iść w świat, przypatrzeć się ludziom z bliska, znaleść przyjaciela, coby się miłośnie do rozpłakanej i roztęsknionej duszy sierotki uśmiechnął... pragnął Tadzio, jak tylu innych, choć zwykle później. Jedynej Wandy, rozkosznej przepiórki, było mu żal, ale.. przecież i ona tylko się śmiała, ilekroć Tadzio do niej językiem gwiazd i kwiatków przemówił. Tam za lasami, za ciemnymi, mówią ludzie, jak w książkach, tam nie śmieją się z natchnień gorącego serca, z potężnych słów, co tryskają szumem z wezbranej duszy poety.

O, tak... jutro wyjeżdża Tadzio do szkół.

Już się dzień skłania ku wieczorowi, już bydło wszelakie z pól wraca i łąk, konik polny dzwonić już zaczął w krzewinie, zbłądzony kulig biegnie przegoną w ugorzysku, mrok drobnym deszczem na ziemię pada... chwila, a słońce drgnie gdzieś daleko, zakrwawi nieba szmat zachodni i zginie...

Przede dworem, na ławeczce, pod lip wonnych cieniem, siedział pan Dołęga z siostrą. Tuż obok przyklękła Wanda na murawie, laleczkę pieszcząc glinianą. Przy niej Tadzio, siostrzyczce pomagając dziś bawić rozpłakaną niby lalkę, bo Tadzio wesoły był weselem ptaszka, którego macierz po raz pierwszy na fale rozigranych puszcza wiatrów.

Rzędem wracała z pola służba gospodarza... woły z pługiem i radłem, dalej konie z bronami, dalej stada dojne i owiec gromady. Za każdą parą koni, lub wołów szedł chłopek z uchylonym kapeluszem, z opuszczonym batem, a wszystko przesuwało się porządkiem przed bystrem okiem pana, który, jak wódz wprawnem okiem szyki swych pracowników przeglądał. Tak zwykł był od dawna pan Dołęga.

Cicho już. Swawolne źrebce hasają jeszcze na murawie dziedzińca; czasem wół ryknie w oborze, koń zarży i znów cicho.

Szybciej teraz, gęściej mrok wieczorny pada — ziemia chłodnieje i — już wieczór.

Od bydła i koni pan Dołęga wzrok odwraca do dzieci, które się śmieją i cieszą bawiąc. Z uśmiechem śledzi ze siostrą dzieci zabawy; cicho szepczą sobie zamiary przyszłości, bo mała Wanda przekazana przez rodziców Tadziowi! Tak chcą rodzice!

W tem... słońce drgnęło na wierzchołkach alei kasztanowej... podniosło się... upadło, raz jeszcze podniosło i już zaszło. — Krwawa łuna zlała cały zachód, wązkimi zagony, aż na środek nieba strzelając — chwilę — potem krew spływa, niknie, zamieniając się w morze pomarańczowe, jeszcze chwilę — i te barwy uchodzą i już nadszedł wieczór cichy lata. Chmurki białe płyną ku zachodowi z ozłoconymi rąbki, jak aniołów płaszczyki, wiatr wieje chłodniejszy, dzwonek wieczorny na wieży kościółka uderza... już się przyroda modli i ludzie się modlą.

Tadzio rzucił lalkę, którą mu Wanda do rąk ciśnie, rączki złożył na łonie i patrzył, patrzył w słońca zachodzącego blaski, okiem na widnokrąg poszedł, w szarej utonął dali, nie słysząc szczebiotu Wandy, która nagłym smutkiem towarzysza zdziwiona, na boku, milcząc stanęła.

— Wróć się, wróć do mnie — prosi po chwili dziewczynka — wróć się i baw lalkę moją; ty będziesz tatką, ja mama.

Ale Tadzio odsuwa lekko twarzyczkę, bo widzi tylko dziwnie piękne niebo, słyszy śpiew cichy, drżący aniołów, co płyną na lekkich falach wieczornego powiewu, sen niosąc ludzkości i spczynek, i zapomnienie.

Tadzo patrzył przed siebie, ponad siebie; błękit oczu jego uśmiecha się do błękitu niebios, jakby do ukochanego domku, do ojczyzny umiłowanej; serce jego mięknie dziwnie, drży, aż z najskrytszych tajników wypływa łza jedna — tęsknoty za krainą niebieską... łza poety.

Mała Wanda i dziwi się, bo ona nie patrzyła na księżyc, ani uczyła się mowy kwiatków, więc zamiast łzy, bucha z piersi jej pusty śmiech, a śmiech ten zakrwawił serce brata, wyciskając z niego drugą łzę... niezrozumianego poety. (C. d. n.)

TEATR

W niedzielę d. 28 grudnia 1879 r. grano po raz pierwszy komedję z francuskiego p. t. „Ubóstwiona“ przez pp. Christofil i Stapleau, w przekładzie starannym i gładkim J. Arwina. Widocznie spółka w autorstwie nie wypadła tej sztuce na dobre, bo przedstawia ona właściwie dwie odrębne komedje, z których każda należycie opracowana, stanowiłaby skończoną całość. Tu splecione dość słabo, zawadzają tylko sobie wzajemnie. Pierwsza z tych części, która nie ma w sobie nic, a nic komicznego, a nadaje tytuł całej sztuce, jest raczej dramatem dość częstym w życiu, choć nie w takim kształcie i nie z takiem zakończeniem, jak chcą autorowie, czy może jeden z nich. Druga jeszcze częstsza, wesoła, acz nie nowa, wypowiada to, czego sztuka nie powinna: że miłostki płoche po za plecyma męża najpoczciwszego, ale ślepego, kończą się dobrze — bez szkody dla interesowanych; podczas, gdy tam, gdzie w grę wchodzą prawdziwe uczucia serca, prawość i charakter, fatum, czy Nemezis, chociażby nią był generalny dyrektor poczt, mści się. Charakter ten sztuki zbyt niestety często powtarza się w dziełach francuskich.

Główną rolę ubóstwianej Andrei grała pni Parżnicka z właściwym jej talentem dramatycznym. W grze tej było rodzenie się i stopniowanie uczucia, pochłaniającego wkrótce całe serce, przytłumiające głos obowiązku względem męża nieszczęśliwego. Spokój pierwszych scen jest tłem, na którem artystka zarysowuje obraz miłości, którego barwy coraz żywiej występują — cóż, kiedy autor przerywa sztukę, wprowadza sceny, wśród których zaciera się wrażenie poprzednich, w skutek czego zakończenie jest prawdziwą niespodzianką. P. Ładnowski w roli kochanka Andrei odegrał kilka scen prześlicznie, nie mógł jednak utworzyć charakteru, gdy go autor nie skreślił, nie wyjaśniając powodów zaręczyn z kuzynką Neridoffa, psując tem samem to wszystko, co pierwsze akty pięknie artyście pozwoliły uwydatnić. Pan Lubicz był doskonałym paryżaninem, którego całą istotą humor, śmiech i zabawa. Rola ta łączy obie części komedji. Dwie inne role tejże odegrali p. Zimajer i p. Fiszer. Był to śliczny tercet, dający choć w szczupłych ramkach pole do popisu wspomnianym artystom. Pani Z. była, jakby obrazkiem wykrojonym z owych tysiącznych scen, których widownią rozkoszna nadsekwańska stolica — pan Fiszer był najdobrańszym dla takiej Ewuni mężem. Jednę z mniejszych rolek objęła panna Sułkowska (Łucja) zwracając miękkością i powabem gry uwagę, pomimo, iż tylko do upiększenia tła, autor potrzebował tej postaci w sztuce. Nie możemy nie zrobić uwagi, iż widzimy p. S. w takich rolach chętnie, gdyż talent jej do tychże bardzo się nadaje, czego najlepszym dowodem uznanie szczupłej garstki widzów podczas ostatniego przedstawienia „Miłości ubogiego młodzieńca“, którzy dwukrotnie szczerymi oklaskami nagrodzili piękną grę roli guwernantki.

Na zakończenie roku 1879 dano w teatrze wiązankę dramatyczną, a w niej nową sztukę, oryginalnie napisaną p. t. „Po kweście“. Znamionuje ona wiele talentu, choć nie jest wolną od błędów w kreśleniu charakterów i w zbyt szybkim rozwoju sceny w zamkniętem mieszkaniu, podczas, gdy monolog kwestującego młodzieńca za długi i niezbyt potrzebny. Jeśli to pierwsza praca nieznanego autora na polu dramatycznem, to rokuje mu powodzenie. — Główną rolę młodej pensjonarki odegrała panna Wisnowska bardzo dobrze, będąc zarazem i naiwną i śmiałą, i płochliwą, i ciekawą. Cóż, kiedy jej adonis, co powinien być młodzieńcem, w którego spojrzeniu i g ł o s i e przebija na pierwsze wejrzenie gorącość i miłość, rozwijająca się szybko, jak kwiat aloesu — dostała się niewłaściwie p. Walewskiemu, który był żywym studencikiem, pustym łobuzem bardziej, niźli powracającym z zagranicy z czystem sercem, młodym człowiekiem. Pp. German i Zamojski grali z właściwym im talentem. *Zorjan.*

W dniu 2 stycznia przedstawiono po raz pierwszy na naszej scenie oryginalną komedję w 5 aktach pióra pani Samolińskiej p. t. „Trzy

Flory". Komedja ta odznaczona została dwa lata temu na konkursie dramatycznym w Krakowie. Kardynalną wadą powyższej sztuki jest szczupłość treści, która zaledwie wystarczyłaby na dwa akta, oprawiona zaś w pięć, traci na ścisłości tak dalece, że dopiero w 3cim akcie ożywia się i jędrnieje. W zawikłaniu intrygi, nie brak autorce talentu, ale cała rzecz, jest dość płytko pomyślana, a wiele scen opartych na zwietrzałych i znanych aż do przesytu efektach. Głębszej myśli i tendencji naprożno szukać w „Trzech Florach"... Pierwsze dwa akta wloką się i są kapitalnie nudne — ożywia ich tylko nieco doskonała gra takiego artysty, jak p. Fiszer w roli bankiera Trzcińskiego i humor pani German, drugiej żony warszawskiego finansisty. Znakomicie odegrał swoją rolę p. Zboiński, któremu autorka kazała być księgarzem, ale którego dosadna charakterystyka nie leży w zajęciu księgarskiem, lecz w pozycji ojca wprowadzonego w błąd przez zbieg szczególnych komicznych okoliczności. Panowie: Woleński i Walewski spełniali obowiązki kochanków... komicznych. Pierwszy nie wychodził z granic naturalności i z niewdzięcznej roli, wyszedł zwycięzko, drugi wpadał w przesadę i tak dobrze mógł być aptekarzem, jak i napuszonym kantorowiczem z pierwszego lepszego żydowskiego sklepu wekslowego. Autorka wprowadziła do swojej komedji niby to typ, a w rzeczy samej kopję typów, tyle ogranych w innych daleko lepszych komedjach, famulusa, mazurskiego autoramentu i gdyby nie dosadna i nacechowana prawdą obyczajową gra p. Zamojskiego, to postać ta nie mając nic w sobie oryginalnej świeżości, byłaby jedynie niezgrabną reminiscencją cudzych scenicznych kreacyj. Pani Zimajer ze zwykłą swobodą, naturalnością i naiwnością, grała jedną Florę — panna Wisnowska w roli drugiej Flory, nie miała pola do popisu, jednak grała z wdziękiem. Pani Tomaszewiczowa bladą rolę matki odtworzyła starannie. Zkąd autorka znalazła plac Flory w Warszawie w jakimciś ogrodzie, jest dla nas tajemnicą... *M. D. Ch.*

Opera. Gotowiśmy wiele sobie wytłumaczyć, uniewinnić, na wiele rzeczy się zgodzić — ale tego darować nie możemy, że nasza dyrekcja teatralna, jakby z umysłu wszystkie polskie sztuki traktuje po macoszemu. Do jakiegoś tam sztuczydła niemieckiego, lub francuskiego znajdą się i dekoracje, i wystawa, i kostiumy — do polskich tylko sztuk brakuje wszystkiego, jakby one nie miały tego prawa, jak inne. Dnia 25 grudnia, dano na dochód ubogich miasta Lwowa operę narodową: „Wiśliczanki" — opera ta słaba i nieudolna wymaga świetnej wystawy, aby mogła zadowolnić widzów, tymczasem wystawa zasadzała się na tem, że bengalski ogień zatknięty na długim patyku wystawał z za kulis i kopcąc niemiłosiernie rozrzucał iskry na wszystkie strony. Historyczne osoby przesuwające się przez scenę, były podobniejsze do białych niedźwiedzi, niż do ludzi, a gdyby nie napisy, z których tylko pierwsze litery były oświetlone, nie domyślilibyśmy się, że przechodził przez scenę Mickiewicz, Słowacki, Kraszewski i Siemiradzki. Nie możemy sobie jednak zdać sprawy, dla czego wszyscy ci mężowie byli ubrani w płaszcze beduinów — gdyż o ile wiemy, żaden z nich w białym płaszczu nie chodził. Wykonanie artystów było dobre — strona wokalna wypadła, jak najlepiej, o prozie jednak zamilczamy, bo główną rolę odgrywał w niej sufler, którego głos dominował nad wszystkiemi. Panie Skalska i Gerard za pierwszy duet, obsypane zostały szczeremi oklaskami — a mała panna Helena Zimajer bardzo sympatyczne wywołała wrażenie na wszystkich. W „Wiśliczankach" występował w małej roli Ottona pan Ruszkowski, którego już przed tem widzieliśmy w „Pericoli" — z tych dwóch występów możemy wróżyć, że p. Ruszkowski w operetach zajmie niepoślednie stanowisko, ponieważ posiada on wszystkie dobre warunki. *Bolesławicz.*

Operetka. Panna Bocskay występująca w wędrującej trupie niemieckiej, zaangażowaną została na scenę lwowską. Panna B. pochodzi z Krakowa, włada poprawnie polskim językiem i posiada sympatyczną prezencję na scenie. Dotąd występowała kilka razy w „Fatinicy" w roli Władymira. Jest to operetkowa aktorka, która w tym kierunku może być bardzo pożyteczna scenie. Pewna zamaszystość i energja, są wybitnemi zaletami tej artystki — ale niektóre momenta roli wychodzą za ostro, co jest niezawodnie przyczyną otoczenia, w jakiem panna Bocskey do tego czasu znajdowała się; niemieckie trupy prowincjonalne szczególniej, odznaczają się tem, że są złą szkołą dla aktorów. Niedługo panna B. wystąpi w innych operetkach i odsłoni zapewne nowe zalety swego talentu.

Potoczne wiadomości teatralne. — Państwo Skalscy wyjechali do Poznania na gościnne występy na dni 15, po czem wracają na stałe do Lwowa, ponieważ zawarli nowy kontrakt z naszą dyrekcją. Państwo Kwiecińscy przenieśli się na stałe do Poznania. Przeniesienie się szczególniej p. Kwiecińskiego, jest dla lwowskiej sceny stratą niezwykłą, której p. Walewski przy najlepszych chęciach nie zastąpi... Chcieć i módz — to różnica...

— Dowiadujemy się, że panna Marja Turczynowicz przetłomaczyła komedję z francuskiego p. t. „Iskra", która w krótce ukaże się na naszej scenie.

— W Hanowerze przedstawiono niedawno „Rodzinę Fourchambault" Augier'a, o której gazety miejscowe tak się wyraziły: „sztuka ta napisana przez poczynającego autora, francuza, z wielkim talentem" i t. d. Dla recenzentów hanowerskich Augier jest dopiero „poczynającym autorem!"...

— Czytamy w „Gazecie Potskiej":

„Nieraz sobie zadaję pytanie dla czego p. Zakrzewski przeniósł się do Kijowa? Jeżeli go skusiło znaczne honorarjum, to pieniądze nie wynagrodzą rozmaitych przycinków i obelg, jakiemi go częstują w teatrze i pismach. Niedawno „Listok" wystąpił z wierszykami do wszystkich artystów opery i niehumorystycznie, a ubliżająco odniósł się do p. Z. W sprawozdaniach z teatru bardzo niepochlebnie o nim się odzywa głupi znawca i sprawozdawca „Kijewlanina", czasem mu świszczą, a często sykają, lepiej może było zostać w Warszawie, gdzie może nie ma takich znawców, ale przyjmowano p. Z. serdecznie i szczerze".

— Z Monachium piszą: Dla nauczki wszelkich znakomitości popisujących się ze swymi talentami za grube pieniądze przytaczamy zawód, jakiego doznała Patti w naszem mieście. Publiczność zniechęcona wysokiemi cenami, nie kwapiła się na przedstawienia. Na parterze dziesięć tylko rzędów zajęto, — zresztą w sali świeciły przerażające pustki. Z tego powodu drugie przedstawienie nie doszło do skutku.

O „DZIADACH"
ADAMA MICKIEWICZA
SZKIC LITERACKI

napisał

ZORJAN.

(Ciąg dalszy).

A jednak żal w sercu tak wre, tak burzy się i pali duszę, iż myśl zemsty ciągle powraca, a fantazja Gustawa, co raz to w nowe kształty tę myśl przeobleka.

„. . . . . Niech ją własna pamięć goni,
Niech ją sumienia sztylety ranią!
Pójdę, lecz pójdę bez broni,
Pójdę tylko spojrzeć na nią.
W salach, gdzie te od złota świecące pijaki
Przy godowym huczą stole,
Ja w tej rozdartej sukni, z tym liściem na czole,
Wnijdę i stanę przy stole.
Zdziwiona zgraja od stołu powstała,
Przepijają do mnie zdrowiem,
Proszą mię siedzieć: ja stoję, jak skała,
Ani słowa nie odpowiem.
Płączą się ochocze kręgi przy śpiewach i brzęku
Prosi mię w taniec drużba godowa:
A ja z ręką na piersiach, z listkiem w drugim ręku,
Nie odpowiem, ani słowa! —
W tem ona z swoim anielskim urokiem:
Gościu mój, rzecze, kto jesteś? — Ja nie odpowiem;
Tylko na nią cisnę okiem,
Ha! okiem! okiem jadowitej żmiji:
Całe piekło z mych piersi przywołam do oka;
Niech będzie ślepą, martwą, jak opoka:
Na wskróś okiem przebiję! —
Wgryzę się, jak piekielny dym pod jej powieki,
I w głowie utkwię na wieki,
Będę jej myśli często przez cały dzień brudził
I w nocy ją ze snu budził".

Wśród tej strasznej, palącej pustyni serca, palącej żarem wspomnień minionego szczęścia, jakby przecudne łudzące fatamorgana, wydaje się następujący zwrot, w którym Gustaw przemawia powolniej, z czułością, rozpamiętując błogie chwile szczęścia; rozkoszuje się w obrazie tej ukochanej, która mu wszystkiem tu na ziemi była. I znowu buduje napowietrzny zamek, znowu złudzenia porywają go, gdy nagle, jak gdy wiatr rozwieje śliczny, a nie prawdziwy obraz fatamorgany, widzi się okropność pustyni, opamiętawszy się woła po przestanku:

„. . . Zapędzam się marnie:
Tu pod zazdrośnych oczu, chytrych żądeł strażą —
Ani obaczyć nie wolno bezkarnie!
Pożegnać, porzucać każą —
Umrzeć! —

(z żalem)

Kamienni ludzie! wy nie wiecie,
Jak ciężka śmierć pustelnika!
Konając patrzy na świat, sam jeden na świecie:
Dłoń mu przychylna powiek nie zamyka,
Żałobno grono łoża nie otoczy,
Nikt nie pójdzie za trumną do wieczności domu,
Garsteczki piasku nie rzuci na oczy,
Zapłakać nie masz komu!"

Jakże to rzewne słowa! jak szczery, prawdziwy w nich smutek! One to dają nam najlepszą miarę boleści trawiącej serce i duszę Gustawa, z nich dopiero poznać można jak wiele poeta-kochanek wycierpiał, jak długie przebolał męczarnie, kiedy już tak smutne snują mu się myśli. Kto przebolał godzin kilka, tego może porwać szał straszny, namiętny, ten może w rozpaczy myśleć o sztylecie i kuli; kto samotnie wśród cichej natury długie dnie, tygodnie i miesiące płakał straty najdroższej istoty, ten wybuchnie nie raz jeszcze żalem, ale częściej w zadumie pomyśli o śmierci, o tych smutnych chwilach znękanego fizycznie i duchowo nad grobem stojącego człowieka, nad którego mogiłą, zda się, nikt i łzy nie uroni, na którego mogile nikt cyprysu nie posadzi. Toż jeśli przypiedziemy sobie na pamięć to smutne życie naszego Adama w Kownie, przejrzymy te dnie życia bliskiego rozpaczy, które on przepędził, błąkając się wśród odwiecznych borów, z Bogiem i naturą tylko rozmawiając, znajdując czasem tylko ulgę w wylaniu potoku łez, pojmiemy łatwo dla czego nasz nieśmiertelny autor „Dziadów“ włożył powyższe słowa w usta Gustawa — pustelnika, w którego całą swą zbolałą przelał duszę.

W monologu Gustawa następuje zwrot; po tej smutnej pieśni samotnika wylewa się potok uczuć to z dziką ironją, to z determinacją, to z żalem, to z zamyśleniem, to znowu z wściekłością odbierającą Gustawowi prawie przytomność. Z obłąkaniem i wzmagającą się gwałtownością mówi Gustaw do księdza:

„. . . Jeśli kiedy obaczysz —
Pewna nadludzka dziewica — kobieta,
I jeśli ciebie zapyta,
Z czego umarłem? — Nie mów, że z rozpaczy;
Powiedz, że byłem zawsze rumiany, wesoły,
Żem ani wspomniał kiedy o kochance,
Że sobie grałem w karty, piłem z przyjacioły —
Że te pijatyki, tańce —
Że mi się w tańcu — ot (uderza nogą)
skręciła noga —
Z tego umarłem —
. . . . (przebija się).

Duma kochanka, a ileż bardziej kochanka-poety wymaga w razie zawodu w miłości obojętności, bodaj udanej, uczucia rodzącego się wówczas w sercu poety nie można określić jednem słowem. Jest to zlew miłości namiętnej, żalu i boleści z niechęcią. Uczucie to, które najczęściej rodzi cały cykl poezyj, rozlewa się w duszy poety nieustannie, nie rzadko towarzyszy do deski grobowej. Ustępuje tylko wówczas, gdy silna, prawdziwa religijność, (jak n. p. u Klopstocka) lub religijność z silniejszą miłością — miłością ojczyzny zajmie jego miejsce. Poeci, którzy temu drugiemu uczuciu w swem sercu miejsca zrobić nie potrafią, choć w głębi serca prawdziwej wzgardy dla niegdyś ubóstwianej nie czują, chociaż w ich sercu miłości żarzewie — jakkolwiek popiołem czasu pokryte — goreje, na uściech mają tylko słowa obojętności i wzgardy. A im silniejsza miłość, im więcej się jeszcze odzywa, tem pieśń na temat: jam obojętny, pogardzam tobą i sercem twem, jam wesół i swobodny, nie kocham cię, — głośniejsza, częstsza, snać, aby przytłumić głos serca, żalu i boleści, aby zgłuszyć jęk struny rozpaczy.

Z pomiędzy poetów tego rodzaju dość wymienić Byrona.

Co do Mickiewicza, to dzieje serca jego w całej postaci przelały się w poemat „Dziady“. Potem jeszcze kilka smutnych wspomnień, potem westchnienia ustały — pozostał obywatel i mąż najzacniejszy, pozostał poeta prawdziwie polski, bo poświęcający swe bole, zapominający o nich, gdyż musi pracować dla ojczyzny — pozostał nieśmiertelny autor „Pana Tadeusza“. Ojczyzna nasza w nieszczęściu potrzebująca niezbędnie czynów swej dziatwy, oderwała poetę od myśli o kochance.

Takie wybuchy goryczy, jak u Byrona, lub innych są u Mickiewicza nader rzadkie, więcej w nim żalu. Streszczają się one w kilku urywkowych ustępach. Wówczas to gorycz poety przedstawia się w formie szyderstwa i ironji.

Do takich miejsc należy piosnka:

Najprzód ciebie wspomina,
Co chwila, co godzina.
Po tem po razu co dnia,
A potem co tygodnia.

A potem co miesiąca,
Z początku, albo z końca.

Biegą wody potoku,
Pamięć nie w naszej mocy
Już tylko raz co roku
Około Wielkiejnocy.

Dzieci:
Jaka grzeczna dziewczyna,
Jeszcze co rok wspomina!“

Wreszcie Gustaw przebija się.

Tu już jest właściwy koniec czwartej części „Dziadów“; następuje tłumaczenie tego niby materjalnego samobójstwa. Gustaw nazywa je czarami, omamieniem, sztuką! Ksiądz w obawie o zdrowie i życie ukochanego Gustawa — ten wyjaśnia wyraźnie, iż to samobójstwo było tylko moralne.

„. . . Są kosztowne bronie,
Których ostrze przenika i aż w duszy tonie:
Przecież widomie nie uszkodzą ciału,
Taką bronią po dwakroć zostałem przebity.
(po pauzie z uśmiechem)
Taką bronią za życia są oczy kobiety
(ponuro)
A po śmierci, grzesznika cierpiącego skrucha!“

Raz taka broń rozdarła pierś naszego bohatera, tą bronią był wzrok kobiety-kochanki, który wpił mu się w duszę, a gdy minęły błogie, niestety tak skąpe chwile szczęścia, jadem trucizny palił go. Utrata kochanki, a niemożność zapomnienia jej, to śmierć, to stokroć sroższe od śmierci! A gdy umarły dla świata karmił się wspomnieniami, gdy żałował zapędów młodocianego, niedoświadczonego serca, ta skrucha, bratająca się z wieczną pamięcią, jak sęp Prometeja targająca nić wspomnień była mu śmiercią drugą!

Prośby niby z za grobu powracającego o przywrócenie „Dziadów“ i kilka słów jeszcze miłości poświęconych, które zakończenie tej części poematu stanowią, już słabo tylko, jak echo, jak przebrzmiana piosenka, jak ostatnie ciche tony z rozbrzmiewających strun lutni odbijają się o rozkołysaną wyobraźnią duszę czytelnika.

* * *

(C. d. n.)

Kronika zagraniczna.

Okrutną zbrodnię opisuje „Progrés de Lyon“: W Lyonie, w jednym z domów na ulicy Sully, zamieszkuje młoda 18-letnia kobieta, rozłączona od niejakiego czasu z mężem, p. Laurenti Clément, dziennikarzem.

Pewnego dnia rano, ten ostatni, pobudzony uczuciem zazdrości, wszedł niespodzianie do mieszkania swej młodej małżonki, która zasypiała smacznie w łóżku, nie przeczuwając wcale, co ją za chwilę ma spotkać.

Mąż zbliżywszy się po cichu do śpiącej, wylał na nią przyniesioną z sobą flaszkę kwasu siarczanego... Gryzący płyn rozlał się po ciele nieszczęśliwej, zadając jej rany okropne. Lekarze powątpiewają o życiu tej ofiary zazdrości; sprawcę aresztowano.

Wspominaliśmy już o zaprowadzeniu na niektórych amerykańskich kolejach żelaznych wagonów mieszczących w sobie restauracje. Praktyczny ten pomysł znalazł również zastosowanie i w Anglji. Salony wagonu jadalni na kolei północnej mają szereg małych stolików, każdy dla czterech osób. Na końcu wagonu znajduje się niewielka kuchnia, w której kucharz przygotowuje na każde żądanie, jak najwykwintniejsze potrawy. Pierwsze próby robione w końcu października powiodły się doskonale. Podczas drogi z Londynu do Peterborough, kiedy pociąg szedł w pełnym biegu z szybkością 15 mil na godzinę, podawano sześć potraw gorących pasażerom. Wagon jadalny tak dobrze jest ustawiony na resorach, że chwianie się jego zaledwie czuć się daje. Podróżni zatem jedzą wygodnie, jak u siebie w domu. Niemniej pomyślne próby wypadły na drodze z Londynu do Leeds. Od listopada towarzystwo drogi żelaznej zaprowadziło tam wagony restauracyjne przy wszystkich pociągach kurjerskich.

W okropny sposób odebrał sobie życie pewien żołnierz niemiecki, polak, w Halberstadt. Stojąc na straży pod samotnie położoną w okolicy rzeczonego miasta prochownią, podpalił ją i wysadził w powietrze. Ciało jego poszarpane zostało tak, że tylko małe szczątki głowy znaleziono. Wybuch sprawił wielkie przerażenie w okolicy.

„Deutsche Zeitung“ opowiada, że bawiący obecnie w Wiedniu, jako profesor tamtejszej akademji orjentalnej, burmistrz jerozolimski, emir Jussuf Zia El-Chalidi, zamierza projektowaną oddawna budowę kolei żelaznej z Jaffy do Jerozolimy, wziąść w swoje ręce. O koncesję na tę budowę ubiegało się za pośrednictwem generała La Motte, kilku bankierów paryzkich, za kto-

rych zakład finansowy Comptoir l'Escompte przyjął gwarancję. W miesiącu marcu r. z. otrzymał generał La Motte firman sułtański, zezwalający na rozpoczęcie robót przedwstępnych, lecz dotąd nie skorzystał z tego zezwolenia. W skutek tedy zabiegów wspomnionego burmistrza jerozolimskiego, wystosowała Porta ultimatum do generała z wezwaniem, ażeby, albo do końca roku 1880 rozpoczął budowę, lub też zrzekł się koncesji, w przeciwnym, bowiem, razie, nadany mu firman, po owym terminie, będzie uważany za wyszły, poczem zajmie się budową emir Jussuf El-Chalidi na rzecz miasta Jerozolimy.

Krytyka, Nowiny literackie i artystyczne.

„O psychicznych zboczeniach fantazji", szkic psychologiczno-pedagogiczny przez Bolesława Mańkowskiego. Lwów, 1880.

Z przyjemnością powitaliśmy tę pracę nowego pracownika na polu wiedzy, poświęconą cieniom ś. p. ks. Leona Sapiehy, którego kosztem autor tejże kształcił się po ukończeniu studjów we Lwowie, za granicą. Zasługuje to na tem większą uwagę, że zrobiliśmy smutne spostrzeżenie, iż stypendyści po większej części nie odpowiadają pokładanym w nich nadziejom i po wyjeździe z kraju nie dają znaku życia. P. Mańkowski składa ową pracą hołd swemu dobroczyńcy i daje dowód, że nie zmarnował chwili z czasu przepędzonego w zakładach naukowych zagranicy. Szkic, który mamy przed sobą, nosi na sobie cechy studjów odbytych pod kierownictwem profesorów niemieckich na dziełach wyłącznie niemieckich. Nie chcemy lekceważyć ogromy zdobyczy na polu wiedzy filozoficznej niemców, znamy ich wartość i przyznajemy, iż w tym kierunku zdziałali oni wiele, więcej może, aniżeli inni, ale nie godzimy się wszakże bynajmniej na to, ażeby dlatego pomijać niepośledniej wartości dzieła francuskie, a co gorsza polskie. W tem więc postąpił sobie autor niewłaściwie. Z polskich autorów cytuje tylko Libelta i Szokalskiego, niemieckich zaś kilkunastu, z których najczęściej Wundta, pod którego kierunkiem się kształcił i którego wpływ jest w nim aż nadto widoczny. Pomijając już, że kierunek rozwoju filozofji niemieckiej nie zupełnie licuje z naszym charakterem narodowym, przebijającym się w dziełach naszych filozofów, z których dość przypomnieć Trentowskiego, Libelta, Kremera, których p. M. nie powinien był pomijać, nie podobna nie zrobić uwagi, że właśnie w filozofji potrzeba, jak najbardziej przedmiotowego stanowiska, które tylko przez studja porównawcze da się osiągnąć.

W ogóle uwydatnia się w pracy p. M. obfitość materjału zdobytego w studjach, chociaż nie przebija w niej jeszcze samodzielne wyłamanie się z pod osobnego wpływu, lub wyłączne oddanie się kierunkowi jednego z odrębnych systemów. Charakter ten, jeśli się tak wolno wyrazić: szkolny, znika dopiero w części drugiej, w której autor wchodzi w kwestje pedagogiczne; tam widać już więcej ciepła, serca, które pojmuje z całą świadomością ważność wychowania młodzieży — autor wie, że o przyszłości mamy prawo dopiero wtedy mówić, gdy uczynimy zadość naszym obowiązkom względem niej, gdy wychowamy pokolenie silne duchem, a młode. Ta część przynosi rzeczywiście zaszczyt autorowi, a nam rokuje świetnego pracownika na polu psychologji i pedagogji. W następnych rozdziałach, gdzie autor mówi o idealizmie i fantastyzmie, widoczna jest znajomość przedmiotu i pewność, nie możemy sobie tylko wytłumaczyć, dlaczego autor nie wgląda w głąb naszej poezji, która dałaby mu nader obfity materjał do rozwinięcia tej tak interesującej kwestji. Przytoczenie wyjątku z Fredry (słowa Papkina) nie są bynajmniej dostateczne. Na swojskim gruncie oparte badania będą o wiele zrozumialsze i niezawodnie obfitsze w materjał.— A gdy mowa o zrozumiałości, to pozwolimy sobie zwrócić uwagę autora na język jego, w którym zbyt wiele znajdujemy obcych naleciałości, cierpianych u nas dotąd, dopóki samoistne badania i prace nie zdołały ich usunąć — dziś możemy się pozbyć przynajmniej połowy obcych wyrażeń, których autor wspomnianego szkicu użył — nad czem powinien pracować, by sobie przyswoił świetność języka, jakim władali Libelt i Kremer.

Pan Władysław Zawadzki przełożył na język polski niepośledniej wartości dzieło D. G. Krafta: „Wielki majątek ziemski". Przekład piękny i staranny, i wartość dzieła zasługuje ze wszech miar na uznanie, a mamy nadzieję, że znajdzie ona u nas rozpowszechnienie.

Niedawno ukazała się na półkach księgarskich „Książka jubileuszowa" dla uczczenia półwiekowej działalności literackiej Kraszewskiego. Olbrzymich rozmiarów — liczy bowiem 527 stron bitego druku — obejmuje ona 27 prac oddzielnych część zaledwie tej nie do uwierzenia płodności dostojnego jubilata.

Żywot Kraszewskiego bardzo pracowity i obszerny, skreślony nader umiejętnie piórem Pługa, ozdobiony jest 28 drzeworytami, przedstawiającemi autora „Powieści historycznych", jego prababkę, babkę i rodziców, widoki miejscowości gdzie się urodził, kształcił i przemieszkiwnł, wnętrze pracowni w Dreznie, wreszcie podobizny pism jego z lat 1819, 1832 i 1879.

Ponieważ szacowne to dzieło podobno w handlu księgarskim się nie ukaże, przeto byłoby pożądaną rzeczą, aby wydawcy rozesłali je w darze wszystkim naukowym instytucjom całego świata. Podobnie niedawno uczynił z medalami i wydawnictwami Kopernikowemi p. Wołyński i wywołał ogólne zajęcie tem, co inaczej mogłoby przejść niepostrzeżenie.

Rodowód książąt Sapiehów z chromolitografjami Lamerciera i sztychami Chardonainiego wyszedł w Paryżu. Ma to być dalszy ciąg „Herbarza", wydawanego częściami przez J. K. Wilczyńskiego.

Nauczanie bez książki, czyli wskazówki teoretyczno-praktyczne, odnoszące się do pierwszego nauczania, z piśmiennictwa angielskiego, zebrane przez Adolfa Dygaasińskiego". Pod tym tytułem ukazała się książeczka wydana w Warszawie. Jest to szereg ciekawych pedagogicznych wskazówek, zebranych z dzieł: Youmansa, Paynego i Baina.

Historja reformacji w dawnej Polsce posiada dotychczas nader ubogą literaturę.

Przyczynę tego ubóstwa stanowi niemała doniosłość rzeczy, gdyż reformacja ważną niezaprzeczenie odegrała rolę w historji narodu naszego, lecz jedynie brak materjałów, na podstawie których możnaby wskrzesić dzieje tego objawu duchowego.

Do nielicznych dzieł, służących do zapoznania się z przeszłością reformacji w Polsce, należą wyborna praca hr. Krasińskiego i specjalne dzieło profesora Zakrzewskiego w Krakowie.

Wymienić tu także trzeba dzieło, napisane po niemiecku przez Vocka, pod tytułem: „Historja socjalizmu".

Pracowali też nad historją reformacji w kraju naszym, wszelako nie specjalnie, Bartoszowicz, Bobrzyński, Łukaszewicz, Szujski i inni.

Otóż dowiadujemy się, iż literaturę tego przedmiotu wzbogaci obecnie nowa praca kandydata uniwersytetu kijowskiego, pana Lubowicza. Młody ten badacz przeszłości znalazł w bibljotece hr. Zamojskich w Warszawie wiele dokumentów, które mu pozwoliły przystąpić do napisania dzieła w rzeczonym kierunku.

W Paryżu wyszły niedawno w języku francuskim: „Wspomnienia wojny krymskiej", rodaka naszego p. Józefa Tańskiego. P. Tański, b. oficer z czasów wojny wschodniej, widział z bliska wypadki które opisuje, co nadaje jego opowiadaniu charakter autentyczny. „Figaro podaje obszerne wyjątki z tej ciekawej pracy, zastrzegając prawo tłomaczenia jej na obce języki.

„Córka kamieniarza", powieść ludowa Karoliny Świetli, znanej czeskiej autorki, wyszła w polskim przekładzie Marji Grabowskiej. Witamy chętnie każdy przekład z pobratymczej literatury, tembardziej, że autorowie nasi dopełniając tłomaczeń, płacą tylko wzajemnością Czechom, którzy wszystkie nasze utwory od dawna już przełożyli — i przekładają dotychczas wszystko, co się tylko godnego uwagi w naszem piśmiennictwie ukaże. Karolina Świetla należy do najbardziej czytanych i popularnych pisarzy w Czechach. — Powieści jej: „Kilka kartek z rodzinnej kroniki", dalej „Jeszcze z rodzinnej kroniki", „O Anusi krawcównie", „O świcie", „Krzyż nad potokiem" i „Oświadczyny", przełożone zostały w różnych pismach na język polski.

Rozmaitości.

Lekarstwo na kaszel i inne cierpienia pochodzące z kataru. Z odwaru kawy wciągać wieczór parę ustami i nosem przez dłuższy czas i iść do łóżka. Na drugi dzień kaszel ustaje, chociażby był najuporczywszym.

Lekarstwo na różę. Wiadomo, jak często ludzie chorują na różę. Choroba ta objawia się na twarzy, lub nogach w ten sposób, że miejsce dotknięte różą nabrzmiewa, czerwienieje, skóra robi się jak szklana, połyskująca, raz czuć swąd, to znów kłucie. Otóż ludzie w tej chorobie radzą zwykle środki chorobę zwiększające, i przez to wtrącają chorego w długą chorobę i wielkie cierpienia, a często przyczyniają się do jego śmierci.

Jak każdej chorobie tak i róży trzeba się starać w samym początku zapobiegać. Gdy się uczuje w ciele dotkniętem różą, swąd i kłucie, trzeba to miejsce obwinąć watą i leżeć w łóżku. Przy róży trzeba się wystrzegać maczania, czyli mokrych okładów, a używać okładów suchych, a ciepłych, można np. przykładać mąkę z bobu w woreczkach, albo rumianek, browy i lipowy kwiat razem zmięszane także w woreczkach.

Inny znów środek:

Weź gałązek z bzu, oddal korę powierzchnią, a zeskrob korę zieloną aż do drzewa. Zeskrobaną korę zieloną usmarz w ryneczce, lub garnuszku, aż kolor straci i zacznie pryskać. Potem weź tak gorącą usmażoną korę, wyciśnij, jak tylko można przez czyste płótno do wody w szklance, zbierz potem tę maść z wody, rozsmaruj cieńko na płótno i przykładaj na miejsce rórą dotknięte.

Odpowiedzi od Redakcji i Administracji.

P. Wł. hr. B. w L. Niektóre z nadesłanych wierszy będą drukowane. Prosimy nie zaniedbywać talentu. Pragnęlibyśmy osobiście pana poznać.

P. Dr. B. w L. Otrzymaliśmy życiorys i fotografję, z których nie omieszkamy skorzystać.

P. Mar. w K. Prawdopodobnie i w Krakowie „Spójnia" założy swoją filje — o tem jednak, aby lwowianki, idąc za przykładem pań krakowskich, używały toalet w kraju wyrabianych, jak dotąd nic nie słychać.

Pp. autorom wierszy: „Biedna ptaszyna", „Kochanko moja", Zamiast w serce, patrzę w kieszeń" — utwory panów drukowane nie będą.

SPROSTOWANIE.

W wierszu p. t. „Harfa ducha" drukowanym w poprzednim numerze zaszły następujące omyłki: w wierszu 21 od dołu w 1szej szpalcie zamiast *mityczna*, powinno być: *niesłyszana;* w wierszu 12 od dołu tejże szpalty zamiast: *samych*, powinno być: *sennych;* i na str. 7 w pierwszym wierszu od góry zamiast: *cierni*, czytaj: *cieśni*.

Lwów. — Niedziela, 4 Stycznia 1880 r.

Dodatek powieściowy

do

DZIENNIKA DLA WSZYSTKICH

za skonfiskowane numera w ciągu 1879 roku.

Od Redakcji.

Z powodu konfiskat w 1879 roku, powieść *„Bez rodziny“* nie mogła być w zwykłych szpaltach *Dziennika dla Wszystkich* w 1879 roku ukończoną. W skutek tego drukujemy osobne dodatki z tej powieści, aby ją ukończyć. Niezależnie zaś od tych dodatków w pierwszym numerze *Dziennika dla Wszystkich* rozpoczynającym rok 1880, zaczynamy drukować o r y g i n a l n ą p o w i e ś ć F. Jeske-Choińskiego pod tyt.: **Mieszaniec.**

BEZ RODZINY

POWIEŚĆ

przez

HEKTORA MALOT

Przekład z francuskiego.

(Ciąg dalszy patrz Nr. 89).

Po spędzeniu nocy w nędznej jakiejś wiosce, o wschodzie słońca ruszyliśmy w dalszą wędrówkę. Szliśmy już dość długo po drodze pełnej tumanów pyłu, mając za cały widok ścieśnione z obydwóch stron rzędy winnic, gdy nagle jakby za uderzeniem czarnoksięzkiej laseczki, podniosła się jakaś tajemnicza zasłona i zachwyconym naszym oczom ukazała się swobodna, niezmierzona wzrokiem przestrzeń.

Wzgórze, na którego szczycie stanęliśmy właśnie, opływała lekkim półkolem wspaniała rzeka, a nad jej brzegiem wznosiły się tysiące dachów i dzwonnic szeroko rozsiadłego miasta. Co domów! co kominów! Niektóre z nich węższe i wyższe, wysmukłe jak kolumny, wyrzucały kłęby czarnego dymu, a ten uniesiony w powietrze lekkim podmuchem wiatru, tworzył nad miastem rodzaj ponurej mgły. W pośrodku rzeki i wzdłuż brzegów cisnęła się niezliczona ilość okrętów, które jak drzewa w lesie gałęzie swoje, tak one mieszały razem żagle, maszty, liny i trójkolorowe powiewające sztandary. Słychać było głuchy łoskot obracających się kół i pracujących kotłów, szczęk żelaztwa, uderzenie młotów, a ponad tem wszystkiem górował jeszcze turkot powozów krążących we wszystkich kierunkach po wybrzeżu.

— To Bordeaux — rzekł Vitalis.

Dla dziecka tak wychowanego jak ja, które nic nie widziało oprócz nędznych wiosek i kilkunastu małych miasteczek, spotykanych dotąd pośród naszej wędrówki, był to czarodziejski obraz

Pomimowoli zatrzymałem się na miejscu, patrząc na wszystkie strony, lecz po krótkiej chwili zaabsorbował mnie wyłącznie widok rzeki i pokrywających ją statków.

Był tam gwar i ruch zajmujący mnie tem więcej, że go nic a nic nie rozumiałem.

— To godzina przypływu morza — powiedział Vitalis, odpowiadając memu zdziwieniu, zanim jeszcze zdążyłem uczynić zapytanie.

Gdyśmy przybyli na most łączący Bastide z Bordeaux, Vitalis nie mógł nadążyć odpowiadać na tysiące zapytań, jakie mu bezustannie zadawałem.

Do tego czasu ani razu nie zatrzymywaliśmy się dłużej w żadnem z przebytych miasteczek; potrzeba dawania częstych przedstawień zmuszała nas, ze względu na nasz niezbyt urozmaicony repertuar, do bezustannego szukania nowych widzów, a więc i ciągłej zmiany miejsc. Lecz Bordeaux było wielkiem miastem, w którem mogliśmy z wielką łatwością zmieniać publiczność, przechodząc tylko z jednej dzielnicy do drugiej; dawaliśmy też po trzy i cztery przedstawienia codziennie, bez obawy usłyszenia tego, co nam powiedziano w Cahors:

— Czyż zawsze będziecie pokazywać jedno i to samo?

Przez całą zimę mieliśmy widzów składających się z całych gromad dzieci, a ta publiczność żądna zawsze naszych przedstawień, nie nudziła się niemi nigdy i nigdy nam nie powiedziała: „że jej przedstawiamy jedno i to samo“.

Były to po większej części dzieci Anglików, tęgie chłopcy z różowem, zdrowem ciałem i ładne dziewczynki o słodkiem spojrzeniu wielkich błękitnych oczów. Wówczas to poznałem smak *Albertów*, *Huntleyów* i innych suchych ciasteczek, któremi zwykle malcy mieli wypakowane kieszenie wychodząc na spacer i rozdzielali je następnie wspaniałomyślnie pomiędzy nasze psy, małpkę i mnie.

Z powrotem wiosny, gdy dnie stawały się co raz gorętsze, publiczność nasza zaczęła się zmniejszać i nieraz po przedstawieniu dzieci ściskały łapę mądrego pudla, podawały rączki mnie i małpce, było to pożegnanie i nazajutrz już nie widzieliśmy ich więcej.

Wkrótce też znaleźliśmy się niemal sami na placu zwykłych naszych popisów i trzeba było pomyśleć o opuszczeniu i nam także gościnnego miasta.

Powracaliśmy znów do naszego koczowniczego życia, do przygód spotykających nas na szerokich drogach. Przez długi czas, nie wiem już nawet przez wiele dni i tygodni szliśmy ciągle prosto przed siebie, zstępując na doliny i wdrapując się na wzgórza, a pozostawiając zawsze z prawej strony sinawe szczyty Pyreneów, rysujące się na widnokręgu jak ściśnięta warstwa chmur.

Nareszcie pewnego wieczora stanęliśmy znów w wielkiem mieście, położonem także nad rzeką, wśród żyznej doliny; domy po większej części brzydkie, zbudowane były z czerwonej cegły, ulice brukowane ostro, śpiczastemi kamieniami, przykremi dla zmęczonych nóg wędrowca, który przebiegał dziennie co najmniej po mil dziesięć. Vitalis powiedział mi, że jesteśmy w Tuluzie i że długo tutaj zabawimy.

Jak zwykle pierwszem naszem nazajutrz zajęciem, było wynajdywanie miejsc nadających się do naszych przedstawień. Znaleźliśmy ich mnóstwo, gdyż w Tuluzie nie brak spacerów, szczególniej w części miasta sąsiadującej z ogrodem Botanicznym. Otóż w tej właśnie dzielnicy jest plac z ślicznym trawnikiem, ocienionym wspaniałemi drzewami, na który wychodzi kilkanaście ulic zwanych tam alejami — umieściliśmy się w jednej z tych alei i od pierwszego zaraz przedstawienia zebrała się w około nas liczna publiczność.

Na nieszczęście, policyantowi, który miał powierzoną straż tej ulicy, nie podobało się nasze tam przybycie i czy nie lubił psów, czy też dla tego, że przeszkadzaliśmy mu w jego służbie, dość, że z tej czy z innej jakiej przyczyny, chciał nas zmusić do porzucenia obranego miejsca.

W naszem położeniu być może najlepiej było ustąpić, gdyż walka pomiędzy biednymi kuglarzami a policyą nie mogła się odbywać równą bronią, lecz mój pan inaczej się zapatrywał na tę kwestyę.

Aczkolwiek był to tylko biedny stary kuglarz, pokazujący uczone psy, a przynajmniej był nim obecnie i nie wydawał się być niczem innem, miał on wiele dumy i przekonanie, że jeżeli tylko nie wykroczy w niczem przeciwko prawu i przepisom policyjnym, powinien właśnie doznawać opieki stróża porządku.

Dla tego też nie posłuchał wezwania policjanta, gdy ten próbował pozbyć się nas ze swej ulicy.

Vitalis w chwilach, w których nie chciał się dać ogarnąć rozdrażnieniu, lub gdy przyszła mu fantazja żartować z ludzi, co mu się często zdarzało, miał zwyczaj przesadzać swą włoską uprzejmość i słuchając wówczas jego sposobu wyrażania sie, możnaby sądzić, iż rozmawia z osobami zajmującemi najwyższe społeczne stanowisko.

— Jego dostojność przedstawiciel władzy — rzekł do policjanta, odpowiadając z odsłoniętą głową — zechce mi może wskazać rozporządzenie tejże władzy, zakazujące nędznym kuglarzom jakimi jesteśmy, rozwijania ich mizernego przemysłu na tym publicznym placu.

Policjant odparł, że tu nie idzie o rozprawy lecz posłuszeństwo.

— Zapewne — mówił dalej Vitalis — pojmuję to doskonale, przyrzekam też zastosować się bezzwłocznie do pańskich rozkazów, skoro tylko będę wiedział, na jakiej zasadzie są mi one wydawane.

Dnia tego policjant odwrócił się i poszedł, a mój pan z kapeluszem w ręku, pochylony, odprowadził go kilka kroków, śmiejąc się w duchu. Lecz nazajutrz, policjant zerwawszy sznur stanowiący oddzielenie publiczności od naszej sceny, wpadł wśród przedstawienia krzyknąwszy ostro:

— Psy te powinny mieć nałożone kagańce!

— Kagańce dla moich psów?

— Jest na to przepis policyjny, powinieneś go znać.

Właśnie przedstawialiśmy komedję pod

tytułem: „Doktor u chorego“, a że w Tuluzie dawaliśmy ją tego dnia po raz pierwszy, publiczność też nasza wielce zaciekawiona, zaczęła szemrać na przerwę sprawioną przez policjanta.

— Nie przeszkadzaj! — wołano.

— Daj skończyć przedstawienie!

Lecz Vitalis jednym ruchem ręki uciszył gwar cały i odsłaniając głowę, skłonił się trzy razy tak nisko, że pióra zdobiące kapelusz dotykały ziemi.

— Najszanowniejszy reprezentant władzy nakazuje włożyć kagańce psom moim? — zapytał pokornie.

— Tak, i to natychmiast.

— Kagańce dla Capi, Zerbino i Dolce!— wykrzyknął Vitalis, zwracając się więcej do zebranego tłumu, aniżeli do policjanta — ależ wasza dostojność nie może o tem myśleć naprawdę! Jakżeby wtedy sławny, znany światu całemu doktor Capi, mógł z kagańcem na końcu nosa zalecać swe radykalne środki nieszczęśliwemu panu Joli Coeur? Bo gdyby to jeszcze inny był instrument, więcej odpowiedni powołaniu doktora, ależ tamten wiadomo nie ma znów z nosem żadnego stosunku.

Słowa te wywołały wybuch szalonego śmiechu, w którym srebrzyste głosiki dziecięce mieszały się z silnymi gardłowemi głosami rodziców.

Vitalis zachęcony, ciągnął dalej:

— W jakiż sposób piękna Dolce mogłaby spełniać obowiązek dozorczyni chorego i powabami swymi wpływać na tegoż, aby przyjmował przepisane środki? Odwołuję się do szanownego towarzystwa zgromadzonego tutaj i proszę go najpokorniej, niechaj zechce orzec w tej kwestji.

Szanowne zgromadzenie wezwane w ten sposób, nie odpowiedziało wprost ani słowa, lecz głośne śmiechy objawiały dość wyraźnie komu przyznawało słuszność. Szydzono z policjanta, a nadewszystko bawiono się rozmaitemi minami wyprawianemi przez małpkę, która stanąwszy za plecami „dostojnego reprezentanta władzy“, zakładała ręce jak on, podpierała się pod bok i zadzierała głowę do góry, wykrzywiając się niezmiernie zabawnie.

Policjant podrażniony przemową Vitalisa i śmiechem publiczności, a nie wyglądający wcale na człowieka zbyt cierpliwego, odwrócił się raptownie i spotkał oko w oko z małpką, która z ręką opartą na biodrze, przybrała postawę junacką. Człowiek i zwierzę patrzyli przez chwilę na siebie, jak gdyby szło o to, który z nich pierwszy spuści wzrok na dół.

Niepohamowane śmiechy wybuchające znów ze zdwojoną siłą, położyły nareszcie koniec tej zabawnej scenie.

— To tylko wam powiadam — krzyknął policjant, wygrażając nam pięścią — że jeżeli jutro psy wasze nie będą miały kagańców, wytoczę wam proces.

— Do jutra, signor, do jutra — odpowiedział Vitalis.

Policjant znów odszedł, a my kończyliśmy przerwane przedstawienie.

Sądziłem, źa pan mój kupi zaraz owe wymagane kagańce, lecz gdy przez cały dzień i wieczór nie wspomniał nawet o zaszłej z policjantem sprzeczce, ośmieliłem się więc wszcząć sam w tym przedmiocie rozmowę.

— Jeżeli pan nie chcesz, aby Capi jutro podczas przedstawienia połamał kaganiec, zdaje mi się dobrze byłoby przyzwyczajać go do tego zwolna.

— Sądzisz więc, że ich zakuję w żelazne klatki?

— Ha, skoro policjant ma ochotę prześladować pana.

— Wieśniak jesteś tak jak oni wszyscy tracisz głowę ze strachu. Ale bądź spokojny, urządzę się tak, aby mi policjant nie miał prawa wytoczyć procesu, a moi wychowańcy nie wiele ucierpieli — trzeba też i publiczność zabawić trochę przy tej sposobności. Ten policjant musi chcąc nie chcąc przyczynić mi dochodu, a zarazem odegrać komiczną rolę w przedstawieniu, które przygotowuję na jutro; to urozmaici nieco nasz repertuar, a i nas rozweseli. Dla tego też jutro udasz się najpierw sam z małpką na plac, wyciągniesz sznury i będziesz grał na arfie, a gdy już zbierze się dosyć widzów i przyjdzie policjant, wtedy zjawię się z psami i zacznie się komedja.

Nazajutrz udałem się na zwykłe miejsce naszych przedstawień i uwiązałem sznury. Zaledwie zagrałem kilka taktów, ze wszystkich stron zbiegali się ludzie, cisnąc w około nakreślonego przezemnie obwodu.

W ostatnich miesiącach, a szczególniej podczas naszego pobytu w Pau, nauczyciel mój wprawiał mnie w grę na arfie i grałem już nieźle kilka kawałków, których mnie nauczył, a pomiedzy innemi śpiewałem jakąś *canzonettę* neapolitańską, towarzysząc sobie na arfie, za którą zawsze odbierałem oklaski.

Byłem już artystą pod niejednym względem, a więc skłonnym do wierzenia, że jeżeli trupa nasza miała powodzenie, to zawdzięczała je memu talentowi; tego dnia przecież pojmowałem doskonale, że nie dla słuchania mej *canzonetty* ciśnięto się koło mnie. Ci, którzy w wigilię byli obecni zajściu Vitalisa z policjantem, powrócili dziś prowadząc swych przyjaciół. Ciekawi byli wszyscy jak się stary Włoch wywinie i pognębi swego nieprzyjaciela. Chociaż Vitalis powiedział tylko te słowa „do jutra signor“, każdy zrozumiał przecież, że w tem spotkaniu oznaczonem i przyjętym, mieściła się zapowiedź wielkiego przedstawienia. Skoro też zobaczono, że przybyłem sam tylko, niejeden z widzów zapytał mnie niespokojnie dla czego to „Włocha“ nie ma?

— Przyjdzie niebawem — odpowiadałem — i śpiewałem dalej *canzonettę*.

Lecz wkrótce zjawił się w miejsce Vitalisa policjant. Joli-Coeur spostrzegł go najpierwszy i natychmiast ująwszy się ręką w bok, podniósł głowę do góry i zaczął chodzić w około mnie wszerz i wzdłuż, wyprostowany, sztywny, z zabawnym pośpiechem.

W tłumie rozległy się śmiechy i kilkakrotne oklaski. Policjant zmieszał się i cisnął na mnie piorunującym wzrokiem.

Naturalnie to tylko podnieciło wesołość publiczności. Ja sam miałem także wielką ochotę roześmiać sie, lecz z drugiej znów strony niebardzo byłem spokojny. Jak się to wszystko skończy? Bo gdy Vitalis był na placu, to wszystko było dobrze, on umiał odpowiadać policjantowi. Lecz przyznaję że nie wiadziałem zupełnie co mam zrobić skoro będę przez niego zaczepiony.

A twarz policjanta nie dawała mi wcale otuchy; malował się na niej rzeczywiście wściekły gniew.

Przechadzał sie on wszerz i wzdłuż pomiedzy sznurami, a sposób w jaki spoglądał przez ramię przechodząc około mnie, mógł wzbudzać słuszną obawę złego zakończenia całej tej sprawy.

Niechcąc doprowadzać do ostatecznej irytacji rozgniewanego policjanta, wołałem na Joli-Coeura, lecz ten ani myślał słuchać, naśladowanie to bawiło go, chodził też ciągle i tak szybko, że mi się wymykał ciągle gdy go chciałem złapać.

Niewiem jakim sposobem policjantowi zaślepionemu gniewem zdawało sie, że ja podniecałem małpę do tej swawoli, przeszedłszy więc sznur, jednem skokiem stanął przy mnie i zanim zdążyłem się usunąć silnie wymierzony policzek obalił mnie na ziemię. Gdy sie podniosłem i otworzyłem oczy, ujrzałem Vitalisa pomiędzy mną, a policjantem i trzymającego tego ostatniego za rękę.

— Zabraniam ci bić to dziecko — rzekł.

Policjant chciał wyrwać rękę, lecz Vitalis ściskał ją mocno, i przez chwilę obydwaj mężczyźni stojąc wprost siebie, mierzyli się wzrokiem.

Policjant wściekał się z gniewu.

Vitalis wyglądał wspaniale, postawa jego pełna była godności, białym włosem pokryta głowa wznosiła się dumnie, a twarz rozkazującego wyrazu tchnęła oburzeniem.

Sądziłem, że spojrzawszy na niego, policjant powinien schować się pod ziemię, nie tak się jednak stało; silnem szarpnięciem oswobodził się i porwawszy mego pana za kołnierz, popchnął go grubijańsko przed siebie.

Vitalis potknął się i o mało nie upadł, lecz w tejże chwili wyprostował się i podniósłszy prawą rękę, uderzył nią mocno zaciśniętą pięść policjanta.

Wprawdzie Vitalis był silnym, rzeźkim starcem, zawsze jednak starcem tylko, a policjant młodym tęgim człowiekiem — walka więc nie byłaby długo trwała.

Lecz nie było walki.

— Czego chcesz odemnie? — zapytał Vitalis.

— Aresztuję cię, — chodź ze mną do urzędu.

Dla czego uderzyłeś to dziecko?

— Nie odzywaj się, — chodź ze mną?

Vitalis nie odpowiedział, zwrócił się tylko ku mnie.

— Wracaj do oberży — rzekł — i pozostań tam pilnując psów, zawiadomię cię o sobie.

Nie mógł nic więcej mówić, gdyż policjant zabrał go bezzwłocznie.

W tak smutny sposób skończyło sie przedstawienie, które mój pan zamierzał uczynić niezwykle zabawnem.

Psy pobiegły za swym panem, lecz zawołałem na nich, a przyzwyczajone do posłuszeństwa, powróciły do mnie; wówczas to spostrzegłem, że miały nałożone kagańce, lecz jakie: zamiast drucianych siatek, obwiązane miały nosy kolorowemi wstążeczkami i sutemi kokardkami po każdej stronie. Capi ponieważ był biały, dostał wstążeczkę ponsową; czarny Zerbino białą, a szara Dolce niebieską.

Tłum rozpierzchł się szybko, a ja smutny i niespokojny powróciłem do oberży.

Rezultat z tego wszystkiego był następujący: Vitalis został skazany do więzienia na dwa miesiące, a ja miałem polecone od mego pana dawać przedstawienia z memi czworonożnymi kolegami, aż do czasu, w którym Vitalis zostanie już uwolniony. Zapłakany i zgnębiony wziąłem harfę na plecy, małpkę na rękę, i puściłem się w świat, gdzie mnie oczy poniosą. Pomijam opis drobniejszych przygód, jakie mnie spotykały w tej artystycznej wycieczce, wspomnę tylko o główniejszej, która zostawiła w mym umyśle nie zatarte ślady. W małych miasteczkach nie mogłem długo bawić ze względu na szczupły repertoar, ciągle więc byłem w podróży.

Pewnego razu noc mnie zaskoczyła w lesie, a mając tylko dwa soldy w kieszeni, postanowiłem przepędzić noc w pośród drzew, a nazajutrz w najbliższym miasteczku, miałem dać przedstawienie.

Gdy się zbudziłem nazajutrz, dzień już był biały. Capi siedząc tuż obok, wpatrywał się we mnie.

Wszedłszy do wioski, nie potrzebowałem pytać o sklepik z pieczywem, powonienie zaprowadziło nas wprost przed jego drzwi, zkąd wydobywał się ponętny zapach świeżego chleba. (C. d. n.)

Odpowiedzialny redaktor i odpowiedzialny wydawca. Jan Chechliński. Z drukarni K. Pillera.